

**MARIA
DĄBROWSKA**
LUDZIE STAMTĄD
cykl opowieści

Wstępem opatrzyła Sylwia Chwedorczuk

**MARGINESY
KLASYCZNIE**

Copyright © by The Estate of Maria Dąbrowska

Copyright © Preface by Sylwia Chwedorzuk
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Szklane konie

Nad wieczorem, jak zwykle, przyszedł ktoś do kuchni dworskiej, mówiąc:

– Paterka znów się upiół.

Doszło to zaraz do pokojów i pani rzuciła z gniewem szydełkową robotę na stół. Kłębek spadł miękko i elastycznie, a szary kot podbił nitkę łapami i ściągnął wszystko na ziemię.

– Weź no tego kota i podnieś robotę. Ach, żeby ten Paterka tak nie pił – wzdychała pani, łamiąc ręce i przeciągając się ze znużonej rozpacz.

– Pije a pije – mówiła Julka.

Zwijana bawełna wydawała pomiędzy jej palcami lekki szept.

– No to co? – spytał pan i nadchodził tak pomału i z namysłem, jakby za każdym krokiem zamierzał stanąć. – Czy się kiedy upije, jak ma jechać? On u mnie jest zawsze trzeźwy.

Zapadło milczenie pełne niemilej treści. Zdawało się, że obrażono pana.

– Tam ktoś stoi pod oknem u wielmożnego pana – podjęła Julka.

W istocie, w oknie, które było widać przez pokoje, ciemniała postać, zaglądnąca to w jedną szybę, to w drugą. Pan odszedł bardziej rączo.

– Co tam? – zapytał i otworzył lufcik, niecąc echa między podwójnymi szybami.

– Z Paterkom się coś zrobiło – wszedł do pokoiów grubo, obrzmiały głos razem ze srebrnym chłodem nadbiegającej nocy.

– Wiedziałam, że tak się skończy! – krzyknęła pani. – Ci ludzie nie mają litości nad sobą!

Stało się to już z godzinę temu lub może ze dwie. Jeszcze jak było jasno.

Stangret Ignacy Paterka szedł pijany ze sklepu Chojnackiego do stajni. Szukał nogami ziemi, to po bokach, to ku górze, a znalazłszy ją nagle nie tam, gdzie się spodziewał, potykał się i tupiąc, biegł parę kroków, jakby wyskoczył z pędzącego wozu. To znów stąpił chyżo w poprzek drogi lub kiwał się nad rowem jak człowiek zasypiający.

Tak minął wszystkie czworaki, czyniąc osobliwe starania, ażeby przejść prosto koło swojego domu. Gdy zbliżał się do kuźni, ręce jego zaczęły niezwyczajnie rozgarniać powietrze. Wtedy Paterczyna wybiegła z chałupy, gdyż widziała go. Gdyż widziała go zawsze, jak szedł. Gdyż czuwała i poznała, że mu się coś stało. Nieprzytomny Paterka zdawał się wiedzieć, że te ramiona rozewrą się nad nim w złej godzinie, gdyż zwałił się w nie od razu, mówiąc:

– Kajsta dziali moje uoczy?!

Paterczyna ugięła się i wyprostowała pod ciężarem.

– Ignac, Ignac! Coś ty sobie zrobiół?! – zawołała. I zawołała to po raz drugi – i wtedy ludzie usłyszeli.

Zrobił sobie to, że nagle oślepl. Gdy go kładli do łóżka, rzekł też jeszcze:

– Zimno mi – a potem gorączkowo zasnął.

– Żeby może ten ksiądz z Tykadłowa mu co poradził – westchnęli ludzie.

Inni byli przeciwni księdzu.

– Ksiądz sam już latoś na ostatnich nogach – mówili.

Zresztą ze dworu posłano już po doktora do Stawiszyna. Okazało się, że Paterka ma nerki chore z przepicia, a oczy z nerek.

Oburzenie ludzi nie miało granic. Gdzie nerki – a gdzie oczy? – Doktor – mówili szyderczo.

Dwór wysłał Paterkę do okulisty. Wrócił stamtąd, widząc po trosze, ale pełen wzgardy.

– Tam coś takiego robiom z człowiekiem – opowiadał. – Poprzecinajom, poprzecinajom coś w uoku, a jak człowiek kichnie albo co, to mu uoko samo wyskoczy. Jednemu jak kichnoł, to aby tak plusło bez sale, jak ryba.

Wieść ta opowiedziana została wszystkim po kolei, a potem dotarła do dworu, budząc tam tysiące wątpliwości, a także strach – zwłaszcza wśród dzieci.

Paterka przez parę dni laził po stajni, macając rękami, niedowidząc i złoszcząc się. Uparł się, że pojedzie z państwem, lecz zajeżdżając przede dwór, chciał wjechać w zamkniętą bramę. Wtedy rzucił lejce, zostawił tak wszystko na drodze, klnąc, poszedł do domu i położył się do łóżka.

– Ady ogień od ciebie idzie – wystraszyła się żona.

Przychodzili go nawiedzać. Wszyscy a wszyscy. Co dzień przychodziła córka Nastka, wydana za Adama Grabowskiego. Także i ze dworu przychodzono. Przysyłano mu różne rzeczy do jedzenia.

Ludzie pytali się wzajem:

– Byliście u Paterki? Leży jak jaki król.

Mówili to przyjaźnie, ale kwaśno.

Przy łóżku chorego była ta sama cisza, jaka bywała zawsze około jego grzechu.

Paterczyna była już starsza kobieta i u nich w domu było tak, jak powinno być w domu – a tysiąc razy lepiej, niżby mogło być przy takim picciu. Czyściutko, uprzątnięte, wszystkiego mało, ale wszystko na porę. Paterczyna nie wyzywała męża – nigdzie nie obnosiła swej klęski.

Lubiła słuchać, gdy mówiono, że ma za to dobrego syna, który nie pije, biednego ojca szanuje.

– Chto jak chto, ale już aby moje dzieci pić nie bydom – chwaliła się wtedy i skromna trzeźwość młodego Pietrka jaśniała w jej sercu jak skarb niepodejrzany.

To wszystko właśnie ludzi jątrzyło. Żeby tam było piekło i jawna zgroza, wystarczyłoby na to zwyczajne potępienie uczciwego sumienia. Ale tak – czało się w tym coś zdrożnego. Wszeteczne rozprężenie żyło tu pod opieką ładu, pokoju, wyrozumiałości. Zezwalano tu na cudzy grzech. I jeszcze się chełpiono, jak Bóg wie czym, że nie wszyscy w rodzinie piją. Kto to pojmie?

Gadano ciągle o tej rzeczy, aż naraz odwróciły się serca i zaczęto ciężko wdychać. Gdyż Paterka czekał cierpliwie, aż przejdą mu nieznane, a zażarte bóle. Zaś na koniec okrył

się cały sinymi plamami i płacząc rzewnie z bólu i z żalu za życiem – umarł.

Kto teraz będzie stangretem?

– A kaci mi do tego? – mówił każdy, lecz wszyscy mieli tę rzecz na myśli.

Praca stangreta nie była w uważaniu. Inni ludzie przez nieporozumienie losów schylali się nie nad swoim polem, lecz jednak schylali się nad polem, sprawiając, że wszystko na nim rosło i dojrzewało. I rosło także i dla nich, i ostatecznie naród miał z tego co jeść. Lecz żeby siedzieć na koźle, z batem w tulejce koło nogi, żeby psykać na spaśne, nierobiące konie – to było śmiechu warte.

Mimo to, gdy takie miejsce jest wolne, niepokój udziela się wszystkim. Zawsze ma to swój urok, że się człowiek nie spracuje, chodzi wystrojony, więcej świata zobaczy. Wiadomo też było, że wódarz, stangret i może jeszcze połowy – ci jedni mogą czasem do czego swojego dojść. Że Paterka, co mu w ręce weszło, topił w gorzałce, to przecież nikt inny by tak nie robił. I odrzekając się głośno, po cichu wszyscy liczyli możliwości.

Najwięcej nadziei mógł mieć Ludwik Unisławski. Najpierw on właśnie zastępował teraz Paterkę, a potem – dwór kochał się w Unisławskich. Nie ma co mówić – piękni ludzie, nawet ten garbaty Doniży.

Tymczasem – ani Unisławski – ani nikt. Zupełnie ktoś inny.

Każdego dnia spodziewano się, że pan furmana wyznaczy.

– Dziś ta chyba powi – rzekli raz wódarze, wkraczając do dworu na dyspozycję.

W oknie, na którym leżały garstki zboża, widać było jeszcze nieco dnia. Lecz kąty pokoju znikwały pod grubym cieniem, który połykał meble. Pokój był jeszcze sam sobą tylko na środku w małym kręgu resztek jasności.

Włóдарzy też powoli wchłaniał zmrok. Z początku widać było wszystkich – potem zniknęli Kucza i Posiłek i z cienia wyglądał tylko pisarz.

Kożuchy ocierały się sztywno jeden o drugi. Niekiedy stuknęła laska. Suwali butami, przekładając ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Czasem któryś z nich kaszlał ciężko jak koń.

Stary pan siedział, milcząc, i rozważał plan roboty, a pola za polami toczyły mu się w oczach. Nie umiał tego planu zrobić przedtem. Musiał do tego słyszeć, jak za nim w kącie koło szafy stoją, pokaślując, włóдарze.

Nareszcie stary pan rzekł:

– Nie pada?

Postąpili nieco naprzód.

– Chmurzy się – odrzekli.

– Trzech pojedzie włóczyć.

– Trzech nie skuńcom.

– A czterech skończy?

– Cztyrech prendzuj.

– Dużo tam zostało?

– Bydzie z półtury pola.

– Unisławskiego jutro wziąć do buraków. Trza kończyć z burakami i brać się do młocki. Jak pięciu dwa razy obróci, to te buraki zwiozą.

– Unisławskiego? – spytali, wyciągając szyje.

– Unisławskiego.

– To ino trzech ma włóczyć?

– No trzech. Kto był wczoraj z burakami na kantorce przy wadze?

– Ja – rzekł pisarz.

– Niech pan jutro zostanie. Na kantorkę pojedzie stelmach. Wyjadą o czwartej. I niech pan mi przyśle tu Pietrka Paterkę na południe.

Cisza.

Z głębi domu ktoś nadchodził. Wniesiono lampę i głosy rozległy się donośniej.

– On sobie przy koniach dobrze radzi?

Z nieokreślonych stęknień zdawało się wynikać ostrożne potakiwanie włódarzy.

– I tak w ogóle – trzeźwy?

Włódarze brnęli dalej z większą pewnością, zadając sobie półgłosem pytania.

– Ma się rozumieć – zdecydowali w końcu.

– Na weselu Wikty Graboszczanki to go widzieli, że się napił z kieliszek – podjęli za chwilę. – Ale na weselu to na weselu – to ta tego...

– To ta na weselu – zakończyli tryumfująco.

Wrócono do ważniejszych rzeczy.

Gdy na koniec mówili: – Dobranoc – stary pan rzekł:

– Zaraz – i zaczął długo kaszleć. Wreszcie powtórzył, kaszląc ciągle: – Więc pan mi przyśle Pietrka Paterkę, a Unisławski niech jedzie z burakami.

Tak więc tego dnia wiedzieli wszyscy, że na stangreta wyznaczy pan Pietrka Paterkę.

Tego się nikt a nikt nie spodziewał. Pietrek miał osiemnaście lat, a wyglądał na mniej. Dotąd chodził z rebiatą, czasem robił za ojca, jak się stary upił. Myśleli, że mu dwór da „fabrykę”, że się nauczy za fornała. Ale stangret?

– Widzieliście wy, ludzie?

Lecz byli tacy, którzy udawali, że się nie dziwią.

– Gdzie by on ta był bez Paterki? – mówili o starym panu. – Ady toć u niego zawdy było tylko: Paterka – Paterka – Paterka. No to mo. Jeden umar, drugi nastoł.

Uprzytomniwszy to sobie, ludzie się uspokoili.

Pietrek był dosyć zgrabny, szczupły, trochę na twarzy zbyt okrągły, podobny do dziecka. Oczy miał mocno niebieskie – ładne – tylko śpiące. Gdy się uśmiechał, patrzył w przestrzeń i ścisnął szczęki, co mu nadawało pozór drwiącej skrytości. Na koźle siedział jak chłopczyk, powoził ostrożnie z wyrazem skupionego przestachu na młodocianym obliczu.

Nikt nie wie na pewno, czy tak było, lecz wyglądało tak, jakby swą nową godność uważał za zniewagę. Prawdopodobnie myślał o stangretach to co wszyscy, lecz uległ pokusie i nie śmiał się wymówić. Lub też należał do ludzi, którzy każdą rzecz przyjmują z niezadowoleniem, jako niewłaściwą dla siebie. Dlaczego? Może przez to, że im ze wszystkim niezgrabnie? Pietrkowi, na przykład, nie było zgrabnie z furmaństwem. Nie umiał dobrze – lecz można powiedzieć, że tak samo nie umiałby czego innego.

Zresztą nieprzychylnie usposobienie Pietrka przejawiało się w sposób dla każdego niezbity, a mimo to nieuchwytny. Nie dało się nawet o tym nic mówić. Wszystkie swoje

czynności wykonywał potulnie. W stajni przebywał nie za mało, żadnych złych skłonności nie objawiał.

Stajnia była nieduża i schludna. Nie taka zgnojona jak fornalska; miała czystą słomę pod końmi, a przez całą długość (długa i wąska) wyłożona była płytami z kamienia. Panowało w niej ruchliwe milczenie – jak zwykle w stajni.

Koni było pięć. W głębi, zawsze na pół po ciemku, stał duży belgijski ogier, używany głównie do rozplodu – wiecznie krytykowany. Mieli mu dokupić taką samą klacz do wyjazdu na złe drogi. Zachowywał się cicho i ciężko. Niekiedy zahłasował swym łańcuchem i zatupał gniewnie. Koło niego, poprzedzielane drągami, uwiązane były kasztany do wyjazdu. Smagały się nerwowo krótkimi ogonami po zadach, koloru pięknej miedzi. Cięży owies jak sukno i wydmuchiwały, parszkając, plewy. Pieściły się łbami. Czasem wznosiły się i przestępowały drąg – bliskie połamania nóg. Często rżały krótko, warcząco, grubo, z głębi siebie. Koło nich niemłoda już wierzchówka, szronka, chrupała obrok uważnie, mądra i szlachetna. I skromna przy tym. Kasztanka gryzła ją niekiedy ukradkiem w uszy. Potem była pusta przegroda, a niedaleko drzwi ziewał ciągle skarogniady wałach, wierzchowiec starego pana. Czasem kaszlał. Mały żrebak w zagrodzie podbiegał, gdy się wchodziło, i stawał nagle pełny zmieszanej, figlarnej zalotności.

Nad wieczorem albo w ogóle gdy przyjechali, Pietrek poił konie, a podkowy kołatały po bruku, jak przerywana palba. Uskromiwszy się z robotą, siadał na skrzynce z obrokiem i patrzył.

Raz, kiedy tak siedział, było mu smutno.

Śnieg jak nie padał, tak nie padał. Zimny kurz prószyl w oczy. Świat za otwartymi drzwiami był cały jak ze zmarzłego popiołu. Drzewa i budynki płowe i ściśnięte z zimna. Między stodołami ciemniała chmura nad pasem rudej, przykrej zorzy. Na wysokich topolach okólnika, w gałęziach cienkich jak włos, kwiliły ptaki szczyrki, obsiadłszy te gałęzie na kształt ruchliwych czarnych liści.

Kamienie w stajni zgrzytały od końskich stąpań na miejscu i z tym odgłosem w uchu Pietrek zdrzemnął się trochę. Przyśniło mu się, że mu kazali przepędzać wszystkie cugowe konie przez dwór, tak żeby przez jedno okno wskakiwały, a przez drugie wyskakiwały. Czynił to z niesmakiem, ze wstydem, ze wzrastającą w sercu nienawiścią, wobec wszystkich patrzących państwa, wobec ludzi, którzy się zesзли. Wtem zerwał się, słysząc, że ktoś woła.

– Stój! – krzyknął nieprzytomnie.

Drzwi były zawalone ogromną postacią pana.

– Dlaczego śpisz? – pytał stary pan podejrzliwie.

Pietrek otarł ręką twarz, zdumiony. Była mokra. Widać płakał przez sen.

– Pojedziemy jutro – rzekł pan. – Założysz do karety.

I tak było wciąż: Pojedziemy – przyjedziemy. Podsypiemy obrok. Wyszorujemy powóz. Uśniemy. Pojedziemy. Czekamy. Zajedziemy. Czekamy. Nie było to źle – tylko za dużo tego czekania. Za dużo tych miejsc na świecie, które służą tylko do czekania i do drzemania.

Tym razem, tak jak zawsze, ustawili konie w hotelu Victoria. Pietrek dostał strawne i poszedł co zjeść.

Spadł na koniec ów pierwszy śnieg, lecz był niezdarzony i zaraz tajał, stukając po rynnach, płaszcząc kroplami w bruk między przezroczyste topniejące grudki. Złośliwe zimno. Po daszkach z papy, na żółtych i szarych ścianach, we wnękach czerwonego kościoła resztki śniegu zalegiwały niby białe liszaje.

Całe miasto zrobiło się bure od wczesnego zmierzchu. U Bernardynów dzwoniли na nieszpory. W sklepach zapalano światła i żółte okna wyskakiwały z mroków. Po placu koło fary kołatał chłopski wóz, a w rynku klaskały i trzaskały po bruku dorożki.

Pietrek usiadł w małym szynku Grzegorzewskiego i jadł skromnie bułkę mularkę z salcesonem. Nikogo nie było tutaj. Za oknem dźwięczały kroki, nadciągając z obydwu stron.

Tym razem bułkę tę popił kieliszkiem wódki. Uważał, że na zimno dobrze mu zrobi mały jeden. I dobrze też mały drugi. I dobrze też mały trzeci. Kieliszki tu mieli okropnie małe.

Gdy wyszedł z restauracji, myśli jego były ciepłe, a serce jego było rażne.

Przystawał i patrzył na sklepy. W jednym okieneczku ułożono same rzeczy na gwiazdkę i na drzewko. Srebrne strugi, złote strzępy, jasne wstążki płynęły z góry na dół. I kulki na sznureczkach w jakie tylko kolory! I szkliste banie, ćmiące jasnością oczy. Potem jeszcze gwiazdy ze srebrnych włosów.

Pietrek wrócił zachwycony, widząc ciągle to świąteczne okno. Wcale mu się już nie przykrzyło.

Państwo byli w hotelu i zaraz kazali zakładać.

Patrząc, jak się Pietrek krzątał, stary pan spytał:

– Co ty tak utykasz? Noga cię boli? – i bacznie czekał na odpowiedź.

Pietrek powiedział zdziwiony:

– Nie boli.

Jechał rączo i sprawnie – może lepiej niż zawsze.

Lecz na szosie koło Kokanina nagle stanął.

Okno karety spadło tak natychmiast, jakby na to czekano.

– A co?

– Nic. Kasztanka mi lice przestąpiła – odparł, schodząc.

Po chwili plecy Pietrka znów zasłoniły przednie okno.

Sadowił się długo, aż kareta ruszyła się, skrzypiąc. Na koniec usłyszeli mętnie przez szkło, jak rzekł:

– Wiśta! – i potoczyli się dalej.

Zdarzało się teraz niekiedy, że na drugi dzień po przyjeździe z miasta pani przychodziła cichaczem do pokoju pana i zanim dzieci się za nią wdarły, zapytywała:

– Czy on aby wczoraj był trzeźwy? Bo nie mówię, ale zdaje mi się, że on jednakże trochę pije.

Pan zdejmował binokle i kładł je na gazecie.

– Jak ja sam jadę, to on u mnie pić nie będzie – mówił uparcie. – Ale jak wy jedzicie, to za długo siedzicie w mieście i chłopaczysku się przykrzy.

Lecz raz sam pan dowiedział się o czymś, od czego pociemniał na twarzy i czego nikomu nie powiedział. Zawezwał pokątnie Paterczynę.

Wchodziła niezmiernie długo, wracając kilkakrotnie do drzwi, gdyż wydawały jej się źle domknięte.

– Musicie wiedzieć, że się Pietrek po nocy włóczy. Że się wczoraj u Chojnackiego upił.

Nie – nie wiedziała. Lub też nie wierzyła.

– U Chojnackiego?

– No tak!

Nic nie może powiedzieć, gdyż wie tylko, że poszedł spać do stajni. Była zaskoczona.

– Że tyż nikumu a nikumu wierzyć ni można. Ani ro-dzonemu synu. Czy jo się to spodziewała? – rzekła pełna zgrozy, ale i niedowierzająca.

I dodała, że Pietrek jest świnia, jeśli tak uczynił, że jest podlec. Wyglądała całkiem oszołomiona, lecz zdawało się, że wymyśla nie Pietrkowi. Ośmieliła się nawet powiedzieć, że może go drudzy namówili. Pan zdawał się przy-chylać do tego mniemania.

Wieczorem stara Paterczyna spytała Pietrka, czy to prawda, że się tak upił.

– Ady jo już nie taki ostatni – rzekł wyniośle. – Może ta ze dwa kieliszki żem wypiół.

Z odbudowaną natychmiast w sercu radością krzyknęła, spotkawszy pana:

– Jakie tyż to te ludzie. Jak to tyż wrom na drugiego. Ady może ze dwa kieliszki wypiół u tego Chojnackiego. Przecie zima, to się może chciał ozgrzać.

Zima na razie, co prawda, nie była mroźna, nie było jej w ogóle długo w tym roku. Dopiero gdy koło Boże-go Narodzenia zaczął sypać bystry śnieg – sypał sześć dni.

Od tego czasu mrozy chwyciły należycie i trzymały aż do Ostatków. Paterczyna spoglądała na złowrogą białość, usypaną pod samo okno, i jak każdy, kto nie ma na co czekać – czekała na wiosnę. I liczyła niedziele:

– Jedna niedziela. Druga niedziela. Trzecia niedziela. Czwarta niedziela. Do postu dwie. Do Wielkiejnocy osiem.

O zapustach myślała z przestrachem, jak o przepaści, którą trzeba przeskoczyć, a o Wielkim Poście myślała z nadzieją.

– Nie bydom już tak na to granie lotać. A potem wiosna – może się co odmieni.

W zapustny wtorek, gdy chłopcy szli do Chojnackiego, ujrzeli, że na zachodzie kłębią się obwisłe chmury, od których pachnie wilgocią, i wróżyli sobie, co z nich wyleci: śnieg czy wiosna.

Mrozek był, ale nieduży. Śniegi, dawno spadłe, powycierane, porozpraszane przez wiatr, nieszczelnie okrywały ziemię.

W sklepie u Chojnackiego (w dużej stacji) pili już ci, którzy przyszli wcześniej ustroić podkoziołka. Nawieszali sobie papierków na szyję, pookręcali nimi ręce.

Na wyróconej beczce i na kwiciatym talerzu stał gotowy ustrojony z patyków młodzian. Z rozczapierzonych niby to rąk spływały cięte papierki w różne kolory – na kapeluszu miała ta kukła pазłótką i takie wyrobione kwiatki.

Oglądano go, kpiąc, ale wesoło było patrzeć.

– Świci się kole niego, świci – mówili chłopcy i zatoczywszy kieliszkami przyjazny krąg, pili z głową w tył odchyloną, jakby sobie mak w usta sypali.

Nowi goście wchodzili, gubiąc po drodze śnieg z butów, a za każdym trzaśnięciem drzwi mętne świńskie pęcherze podskakiwały na ścianie. Stojąc przy ladzie, pijący tręcali wiszące nad nią wieprzowe przeroby. Brunatne kiełbasy z cętkami tłuszczu pod pomarszczoną skórką, kaszanki w szarozielonym grubym flaku i płaskie salcesony ruszały się, bijąc w nozdrza słonym i krwistym zapachem.

Pietrek nigdy nie pił dużo na początku zabawy. Bał się, że się w tańcu zmyli albo że się z niego naśmieją. Pił potem – na odchodnym. Gdyż każda rzecz ma swój próg, który trzeba przekroczyć. Lecz gdy na beczcze stoi drewniany młodzian, wiewając od przeciągu złotymi papierkami – wszystkie drzwi zdają się otwarte na przestrzał i nie ma nigdzie progu. Więc sobie dzisiaj pił od początku.

Dziewczyn było jeszcze niewiele. Klóciły się o picie zapalczwym szepem. Ktoś krzyknął:

– Grocze! Co wy! Drewniane pazury mota, że nie grota?

Gracze zdeptali ogarki, przepchali się przez tłok i poglądali swe instrumenty.

Wtedy właśnie drzwi huknęły i przyszło naraz dużo dziewczyn zdyszanych i zaśnieżonych.

– O rety! Jak tyż wieje!

– Śnieg?

– Śnieg – ale ci taki mokry.

– Dali – dali! Dali – dali! Dali – dali – naglili, porywając je, chłopcy.

Bęben długo szperał różgą po skórze i pałeczką wbębniał się w takt, aż uchwycił go i rozległ się porywczym

tętnem. Skrzypce, basy i klarnet od razu wybrały melodię i zadźwięczały odwieczną pieśnią wykupu.

Oj, trzeba dać pod koziołka, trzeba dać,
boś ty mogła całki roczek ubadać.

Ciągnąc za ręce dziewczyny, parobcy dreptali wstecz z głowami schyłonymi jak byczki, wierzgając w przedwstępnych skokach. I odrzucali każdą od siebie w ramiona Szczepana Posiłka, który prowadził je, tupiąc pod koziołka.

Srebrne i miedziane pieniążki wykupu sypały się na kwiaty talerz z rąk dziewczyn.

– Oj, da jeszcze! Oj, da jeszcze! – wrzeszczeli gracze, podskakując.

I tancerz przytrzymał dziewczkę, i przytrzymał ją mocniej, i dreptał przed talerzem tak długo, i przymawiał jej tak słono, że się nie wydała i że jak się należycie nie wykupi, mieć będzie, na co zarobi – aż wreszcie rzuciła znów pieniążek.

Pietrek zaśpiewał:

Zarobiłaś, moja mała, w jesini,
mosz piniążki, mosz piniążki w kiesini.

Wszystkim się podobało.

– Ci śpiewa. – Żeby dzwon. – Dali, Pietrek, dali.

Śmiechy zabrzmiały jak salwa.

– Do toneczka! – Do toneczka! – wołano, przeginając się tak i przeginając się owak.

Podłoga zaświstała jak pod zębami piły.

Pietrek tańczył z Zuzią Kaczmarkówną. Taka była maluśka i młodziuska, więc co nie miał być do niej śmiały. Rzekł jej, żeby się jeszcze wykupiła i jeszcze wykupiła. Że dla niego mało się wykupiła i że jak się nie poprawi, to zobaczy. Lecz gdy chciała – to sam nie dawał, sam ją od talerza odwodził. Tedy śmiała się i mówiła, że co to za sprzeciwianie – i że gorzałkę od niego czuć.

– A tyś sie nie napiła? To sie napij, to sie napij, maluśka.

Na mgnienie wstrzymali tańce i pili. I znów pili. Lecz płąsy były jeszcze szparkie, obroty rzeźwe, ostro na taktach przybijane tupaniem – zdecydowane, chyże a krzepkie jak cios kosy, jak rzut cepów, jak świst bata i nawrót pługa.

Lecz oto nareszcie i dom tańczyć zaczynał. Okna przemieszczały się błyskawicznie, krążąc wokoło ścian, tupiąc i łamiąc się po ziemi. Lampa błyskała na ramionach tancerzy, drewniany młodzian uniósł się w powodzi papierowych smużek i krążył pod powałą.

Wtem wszyscy wyszli, oddalili się, znikli sprzed oczu Pietrka. Tak jest – oddalili się. Gracze przestali grać. Dom nawet odszedł. Ktoś trzymał Pietrka za kark, a strugi zimnej czarności płynęły mu przez twarz. Lecz dom się nawrócił i znów go otoczył czterema ścianami. Wszyscy przyszli, wymknęli się jakby spod ziemi. Muzyka się znów z głuchości wynurzyła.

Pietrek myślał, że tańczy, lecz nie tańczył, tylko siedział na ławce, a Zuzia przy nim. Zuzia przy nim.

Zapytał:

– Co uoni?

Gdyż muzykę znowu było słycać tak niewyraźnie, jakby ją kto drzwiami przyskrzylił.

Tylko basy dudlą: du-du-du.

Ktoś chciał śpiewać, ale nie umiał, tylko krzyczał:

– Tyś je duda, on duda, obojeście dudowie! – a wszyscy:

– Dudowie!

– Dudowie!

– Dudowie!

Tylko jeden pokrzykiwał grubym głosem w takt muzyki:

– Ha! Ha! Ha!

– Ha! Ha! Ha!

I znów na przemian. To śpiew. To krzyk. To cisza. Owi leżeli na ziemi.

– Po co leżom? Żeby na złość! Żeby tańcować gdzie nie było.

Pijani gracze kroczyli za pijanymi tancerzami, rzępoląc im do ucha, i plątali melodie.

Przy ladzie płakano prawie.

– Co tu? Napić się człowiekowi nie dajom.

Lecz dawali pić i Pietrek pił dalej. Uderzając się z drugim czoło w czoło, mówili sobie, że ci taka pocieszycielka narodu ta wódka.

– Napijże się, napij, poczujesz zaro, że żyjesz.

– O rety. O jako tyż ognisto. O jako tyż piekąco – wyły pojone dziewczki i łkały ze śmiechu.

Pietrek dawał pić Zuzi, mówiąc, że go ta wódka huźda do samego nieba. Zuzia, olśniona i upita, w zgrozie i radosnym obłąkaniu pocałowała go w rękę.

– Idzie mi o cie, dziewczę... idzie mi o cie – jękał Pietrek, a serce łoskotało mu w piersi ze szczęścia.

Znaleźli się z Zuzią w zimnej ciemności – nie wiadomo było gdzie – lecz chłopcu tam było jasno, a dziewczce tam było ciepło.

I oto w końcu we trzech czy we czterech może ocknęli się na drodze. Sami chłopcy. Dziewuchy znikły. Nie wiadomo, kto je poodprowadzał.

Szli niepewnie, usiłując otrzeźwieć na powietrzu. Było już nade dniem. Rozpogodziło się i uciszyło. W nocy musiało się przemienić na deszcz – lecz i deszcz ustał. Śniegi znikły – wszędzie błocko.

Gdy mijali dwór, ściany jego wyprężyły się i wydźwignęły ponad ogród – wsparte na ostatnich gwiazdach. Z zagłębieniem srebrnej chmury u szczytu dwór wyglądał jak biały okręt na bezładnym samotnym odmęcie.

Koło pańskiego ogrodu Pietrek przewrócił się.

– Wstawaj, draniu, wstawaj – kopali go przyjaciele.

– Coś ty się kole dworu uwalił? – mówili. – Co ty, myślisz, że cie pon poniesie?

– Ocknij się – do roboty trza iść. Pon bydzie za cie robić? – szarpali go, a jeden z nich złapał się za drzewo i tupał naokoło, rycząc:

– Pon? O ponu to je tak – i zaśpiewał:

Owinie się w grochowiny –
bydzie robić tak jak i my.

Pietrek wstał, lecz natychmiast przewrócił się po raz drugi. Wtedy ocknął się. Jakieś drzewo wyciągało na niego czarne szpony.

Przypomniał sobie, że jego matka musi na pańskie chodzić przez to, że on pije i że nie mają posyłki.

– Trzeba o wszystkim pomyśleć – rzekł, dźwignął się z kałuży i pośpieszył do domu.

W miarę jak zbliżał się do tych ścian, pierzchały uroki nocy. Gorzej. Stawały się haniebnym grzechem, odziewały się w żałobę. Gdyż co na świecie jest urokiem, to w progu domu przemienia się w grzech i tak już jest na świecie – i każdy chce, żeby tak było. Żeby się tak bać i truchleć u swego niskiego progu.

Stał więc i czuł w sobie dębny zapach jak w beczce. Chciał, żeby matka nie poczuła. Wszedł na koniec. Matka nachylała się już nad porannym ogniem, cała różowa. Pewny, że idzie do niej, zabrął pod okno, pod którym usiadł bezwładnie i usnął.

Włódarz przychodził po niego koło dziesiątej, gdyż państwo mieli jechać do kościoła na Popielec. Lecz nie dało się go dobudzić. Pojechał Unisławski. Nad wieczorem pan przyszedł do stajni i zastał już Pietrka na zwykłym miejscu. Podszedł i uderzył go w twarz. Pietrek zatoczył się w milczeniu. Obaj strasznie milczeli. Obaj cierpieli.

Natychmiast potem Pietrek upił się na miejscu, w stajni, z ukrytej flaszki.

Pan zaś nie wrócił do dworu prosto przez podwórze, tylko łąką, przez rów, aż pod Czajkowem – na drogę do

Poklękowa – tą drogą koło wiatraka i dopiero przez ogród, koło kuchni – do siebie.

– Co tam tak pili u Chojnackiego? – spytał na wieczór włóдарzy.

– Taaak... jak to w ostatki – odparli z chytrą pobłażliwością.

Pani nie miała nic przeciw Pietrkowi, raczej lubiła go, lecz jednak ostrzegła pana tym razem.

– Nie można go brać do miasta, bo się przez to jeszcze więcej rozpija.

– On znowu tak nie pije, tylko że ma słabą głowę. Strasznie ma słabą głowę – mówił pan i wzdychał.

– A wtedy, w ten wtorek, co się tak strasznie u Chojnackiego spił?

– To były ostatki. To były przecież ostatki! – wykrzyknął pan z radosną ulgą.

– Ale w mieście za każdym razem, co pojedzie, to się upije.

– Nie za każdym razem – klócił się pan niechętnie. I ka-zał zaprzęgać, i znów jechał.

Czasem w mieście zapominał swoich interesów i wybiegał jak oparzony z Kredytowego Towarzystwa Ziemskiego albo porzucał giełdę, mrowiąc się na Czynkówce (tak się nazywała jedna część rynku, od sklepu Czynkla) – i biegł do hotelu Victoria. Zaufane Rosenbaумы i Boraksy odpadały po kolei od jego boków, szedł w końcu sam krętą uliczką, śpiesząc się i sapiąc, gdyż chciał na własne oczy zobaczyć, jak Pietrek będzie wracał.

W hotelowym podwórzu gdańska, piszcząc, pompa; stary portier przynosił z wolna swą postać to tu, to tam, łącząc po bramie i wyglądając, czy kto nie jedzie. W głębi podwórza słychać było, jak stąpają i grzebią po bruku konie, jak chrypią stopy talerzy i zgrzytają widelce. Pan stał.

Na koniec Pietrek ukazywał się, uchylał czapki i szedł do koni.

Stary pan patrzył, a jeśli powziął podejrzenie, mówił:
– Wróć no się.

I kazał mu przechodzić środkiem bramy. W bramie tej był wzdłuż przez środek położony taki bal, służący do zakrycia ścieku.

Pietrek przechodził sinopurpurowy na twarzy. Jeżeli nie zawadził o bal, to pan kazał zaprzęgać. A jeżeli się potknął – pan krzyczał na niego i kazał mu pospać w stajni.

Raz niepewny, czy się Pietrek potknął czy nie, chwycił go za pierś i rzekł:

– Chuchnij!

Lecz nie! Wódki nie było czuć tym razem. Uderzył go tylko zapach ciężki i słony, jaki noszą ze sobą ludzie, którzy mocno pracują, rzadko się przebierają i też nie myją. Pietrek miał na sobie swoje stajenne rżęchy. Stary pan był stropiony.

– Coś ty, tak do miasta pojechałeś? Czegoś mi się nie ubrał?

Pietrek odparł, jękając się:

– I tak... I tak. I tak człowieka gnój zeżre.

– To nie pij! Nie pij!

Stary pan puścił go i odszedł. Nagle wrócił się.

– Co takiego? – krzyknął. – Gnój cię zeżre? – I pchnął go.

Niekiedy Pietrek starał się oszukać czujność pana. Załatwiał się szybko z piciem i przychodził do hotelu, jak mógł najwcześniej, taczając się chyłkiem przez szare zaułki. Zamykał się w karecie, a jeśli był wolantem, to w jakiej cudzej, i zasypiał w nadziei, że obudzi się trzeźwy. Lecz często było mu tam źle spać – coś go budziło za wcześnie.

Raz obudził się i zobaczył, że nie on sam jest Pietrkiem. Jeden Pietrek siedział na koźle, a drugi szedł środkiem bramy, potykając się o drąg. Trzeci zbliżał się z ulicy. Pietrki pompowały wodę i rzucały po kuchni talerzami. Za to w karecie nie było go wcale – sama kareta patrzyła na tych Pietrków. Było to przykre i mało nie uciekł, ale na szczęście usnął ponownie.

Kiedy indziej zbudził się, a tu patrzy – niebieskie szklane konie stoją takie przy karecie. Całe szklane, a leciutkie. Uszy miały z zielonego szkła, a grzywy – z jakiejś niepodobnej rzeczy kolorowej. Każdy miał sześć nóg i pięknie machał nimi, wspinając się na gwiazdy czy na coś. Tak być powinno. Tak wyglądało to, czego chciał! Do tego chciał się dopić. To budziło w sercu skurcze szczęścia – jak młodzian z patyków i jak Zuzia.

I uspokojony jechał sobie w te szklane konie. I śmiał się z pana, który biegł przy oknie, patrząc na to, i wołał:

– Wstawaj. Zakładaj konie. Jedziemy.

Pietrek machnął ręką.

– Sześć nogów majom! Sześci przebierajom! Sześci tompiom! – krzyknął radośnie.

Lecz gdy wyszedł, wydawał się zupełnie trzeźwy. Przeszedł przez bramę bez błędu i poważnie. Wobec tego pan kazał zaraz zakładać.

Huk kopyt zadudnił w bramie, podkowy klasnęły na bruku. Pan wsiadał i spuściwszy okno, wyglądał przez nie. Kwiecień. W mieście pachniały niewidzialne łąki, a burzliwa wichura roztrącała po niebie chmury.

Na moście koło Bernardynów zdawało się, że się karetą zatoczyła. Lecz nie. Jadą a jadą.

Niebo się mroczyło. Pieniły się po nim dzikie wiosenne gwiazdy. Huk wiatru otrząskiwał pudło karety, blade roztopy podpływały ze wszystkich stron. Nieustające pasmo dnia świeciło na zachodzie nad samą ziemią.

Za Niedźwiadami karetą wjechała nagle z grochotem na pryzmę kamieni. Przeciwnie stopień zgrzytnął po szosie, nabierając błota. Konie zjawiły się tuż przy oknie. Pietrek znikł.

Drzwi naturalnie też się otworzyły i stary pan wybrnął z kozuchów, paczek i małych narzędzi rolniczych, które sypały się na szosę. Rozejrzał się. Pietrek leżał na rowie.

Ze strasznym uczuciem, że Pietrek umarł, pan zaczął go ciągać i brać na ręce.

Pan był potężny, a Pietrek nieduży i oto na rękach wysokiego starszego człowieka leżał chłopiec bezwładny, zwinny i wiotki.

– Pietrek! – zawołał starszy pan.

– Dziecko! – krzyknął. – Dziecko!

To, co się wydarło z ust Pietrka, nie było jękiem. Pietrek śpiewał.

Stary pan zadrżał i zesunął swój ciężar na ziemię.

– Upiłeś się! Upiłeś się! Upiłeś? – I stawiał go na nogi.
Pietrek stanął, pokołysał się i znów się rozłożył na rowie.

– Łajdaku! Przecież przeszedłeś środkiem bramy.

– Łajdaku!

Milczenie.

– Piotrusz?!

Nic.

– Zostawię cię tu, pijany gawronie.

Stary pan rozejrzał się. Na szosie nie było nikogo. Coś kwiliło. Czyżby czajka? Tak późno? Nadlatywały tętenty wiatru.

Trzeba było nakierować konie, wyplątać lejce z orczyków, zobaczyć, czy się co nie zepsuło. Poklepał konie dzwoniące lekko wędzidłem, powkładał do środka, co powylatywało na szosę, sprowadził karetę z przyzmy. I schylił się nad Pietrkiem.

– No wstawaj, chłopcze – rzekł smutno. – Trza jechać do domu, bo zimno.

Pietrek westchnął.

– Weź mnie za szyję. Mocno. Dźwigaj się.

Pietrek objął pana i złożywszy mu głowę na ramieniu, mruknął:

– Nie będę tu... i nie będę tu...

Zadarł nogę, chcąc wejść na kozioł, śmiesznie smutny w bezradnym niedołęstwie.

Stary pan zapchał go do wnętrza i zamknął drzwi.

– A wyleć mi, psiakrew.

Chyląc do ziemi całą karetę, wylazł na kozioł.

– Wiśta – rzekł schrypniętym głosem.

I całą drogę mówił coś do siebie i do koni.

Aż naprzeciwko z horyzontu wyskoczył, poznaczony brązowymi światełkami, Rusocin. Wieś zbliżała się, kryjąc się niekiedy między drzewa.

Kareta skręciła z szosy na gościniec i przestała dudnić, skrzypiąc tylko mozolnie i chlapiąc w błoto.

Ludzie słyszeli i widzieli, że pan wraca. Ode dworu rozlegało się mgliście szczekanie psów. Lecz gdy kareta stanęła nagle wśród drogi przed czworakiem, gdzie było mieszkanie Paterków, zdziwiono się. Cienie jęły zasłaniać okienka.

Drzwi zapiszczały pomalutku i Paterczyna stanęła nade drogą.

– Coś ty sam wrócił? Pon nie przyjechał? Coś tak stanął?
A poznawszy ciężką postać na koźle, krzyknęła:

– Rany boskie! Gdzie Pietrus? Rany boskie!

Podbiegła, skacząc przez kałuże.

– No co? – spytał pan z szyderczym spokojem, jaki ogarnia nas na widok bliźnich, którzy wypadli z równowagi.

– Gdzie Pietrus? Co mu się stało?

– W karecie.

Zaczęła szarpać drzwi, a drzwi nie puszczały.

– Otwirać! – wrzasnęła.

Stary pan wolno zszedł z kozła, okręcił lejce i mówiąc:

– Stooj! – Stoj! – Stoj! – Poklepał konie.

Potem lekko otworzył drzwi.

– No, upił się – rzekł – i Paterczyna zaraz przestała jęczeć.

– Wychodź, dziecko. Pójdź do domu. To jo, ty świnió – mówiła ze wstydem.

– Co ma wychodzić, kiedy leży spity jak kłoda. Trza go zanieść.

– Oloboga, loboga. Ady pójde zawołać kogo. Taki wstyd! Lecz pan wytaszczył już pijanego i niósł go, okraczając kałuże.

– Otwórzcie szerzej – rzekł chrypliwie przed drzwiami. W stancji palił się po cichutku ogień na kolację, zaledwie liżąc mokre, sapiące drzewo.

– No, gdzie go położyć?

Położył go na łóżku, a czerwona pierzyna wzdęła się naokoło.

Pietrek otworzył na mgnienie oczy, a pan odwrócił swoje.

– I coż z nim zrobić? – mruknął. – Pije jak bydlę.

– Pije! Pije! A co mo robić, jak nie pić? Jakby nie pił, toby może co gorsze robił – zawarczała Paterczyna z nieoczekiwaną urazą.

Pan pomyślał, że ludzie mówią prawdę i że Paterczyna roztacza dziwną opiekę nad rozprzężeniem swego domu.

A ona, jakby myśl tę słysząc, zajęczała:

– Ady mnie to już zatopi, ady zatopi!

Wtem, podotykawszy syna, zaczęła nagle śpieszyć się koło niego, coś z nim robić, to go rozdziewać, to nim wstrząsać. Po coś biegła, podnosiła mu głowę. Pan usiłował zaprzeczyć zgrozie, w którą naraz popadła, i wodząc za nią rozeźloszczonymi oczyma, gadał bez końca:

– No co? Co mu ma być? Niech się wyśpi. Co mu ma być? Niech śpi.

Lecz jego wielkie brązowe ręce mimo woli chciały coś pomóc, obciskały pierzynę koło głowy, odchyłały zaciśnięte usta chłopca.

– Już on tak jak i ojciec. Już on się z tego nie podniesie. Żeby mu krew puścić... Żeby po owczarza... Żeby po księdza... – Dygotała Paterczyzna.

– Co, na Boga Ojca, takiego mógł wypić? Może gdzie na wesele trafił – biadał stary nie w porę.

– Co ta o to, gdzie trafił... Co ta o to, gdzie trafił. Żeby po kogo... Matko Bosko Anielsko...

– No pośle się, zaraz...

Pietrek oddychał jak uduszony, właściwie mówiąc, rzeził. W kącie ust coś mu bulgotało i pieniało się. Widząc to, stary pan wycofał w strachu swą postać z niskich drzwiczek i brnąc na dworze przez gnojówkę, krzyczał:

– Jest tam który? Jest tam który?! Który tam jest! Stróż! Stróóó! Stróóóó!!

Gwałtowny wiatr, pachnący niebem, walił przez drogę, tnąc i rozrzucając głos wołającego.

Lecz przecież usłyszano.

– Ho! Ho! Ide! Ide – odpowiedziały burzliwe, pełne wiosny ciemności.

Wątle odbicia żółtych okienek, rozpostarte na żywopłotach, zaczęły się ruszać i skręcać. Brano lampki. Wychodzą z nimi przed nędzne skrzypiące drzwi i nasłuchiowano, co się stało śród nocy.